



Wiatr, który szeptał

PIOTR JAKUB KAR CZ

PIOTR JAKUB KARCZ

*Wiatr,
który
szepiał*

© Copyright by Piotr Jakub Karcz & e-bookowo

Redakcja: Aleksandra Trzecka, Arleta Dąbrowska

Skład: Katarzyna Krzan

Projekt okładki: Piotr Jakub Karcz

ISBN e-book: 978-83-8166-530-8

ISBN druk: 978-83-8166-531-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie II 2026

Gdy byłem w twoim wieku, intrygowały mnie gwiazdy. Już jako ośmiolatek potrafiłem rozpoznać wszystkie widoczne gołym okiem konstelacje. Odległości, które dzielą nas od nich, uzmysławiały mi, jak mały jest człowiek w stosunku do wszechświata. Dzisiaj wiem, że gwiazdy są na wyciągnięcie dłoni.

Profesor François Ayrault

Niniejszą powieść dedykuję tej, która nauczyła mnie patrzeć w gwiazdy.

Ani, mojej Ani...

*Oto jest ten, co barwną chustą bliznę na twarzy przysłania
Oto jest ten, który wśród tłumu dostrzega znaki zapytania*

*Oto wędrowiec, co z każdym krokiem swą pamięć zatracą, by dążyć dalej
Sękatym kijem w drżącej dłoni na piasku spisuje niewiarę*

*To ten, co w srebrnym blasku dostrzega krętą drogę
A gdy noc czarna wstanie, nad zniczem chyli głowę*

*Oto spojrzenie strwonione, zastygłe w odległym niebycie
Widać w nim otchłań bezkresną – niegdyś tam tliło się życie*

*Oto ten, który upada, gdy życie po policzku płynie
Podnosi się, odchodzi. Nie patrzy za siebie... już nie*

Prolog

Lipiec 1986

Chłopiec wszedł na najwyższe piętro klatki schodowej. Pod-ekscytowany i lekko przestraszony, upewnił się, że wejście na strych nadal jest otwarte.

Delikatnie pchnął drewniane drzwi i z najwyższego stopnia wszedł prosto w mrok. Z każdym krokiem robiło się ciemniej, a serce zaczynało bić szybciej.

Oddychał powoli, delektując się zapachem staroci. Bał się, ale ciekawość była silniejsza. Im ciemniej robiło się wokół, tym bardziej chciał iść dalej.

Minął porozrzucane na podłodze kukielki, które w jego wyobraźni przybierały karykaturalne kształty. Tym razem kierował się ku dalszej części strychu, odgradzonej zbutwiałymi drzwiami. Zrobił kilkanaście kroków. Przez skrzypiące deski każdy z nich wydawał się trwać dłużej, niż powinien.

Nagle silniejszy podmuch wiatru poruszył starymi zasłonami. Materiał zafalował leniwie, a przez szczeliny okien przedarł się cienki, nierówny świst.

Ośmiołatek zatrzymał się. Poczuł chłód na karku, a na rękach pojawiła się gęsia skórka. Potrzebował kilkunastu sekund, by upewnić się, że nic mu nie grozi. Wtedy zauważył jasny słup światła wpadający przez okno. Na podłodze układał się w kształt przypominający strzałkę. Przyjął to za dobry omen i zgodnie ze wskazówką podążył w głąb strychu.

Po chwili dostrzegł niewielkie drewniane pudełko, częściowo przykryte rupieciami i grubą warstwą kurzu. Leżało pod samą ścianą, jakby ktoś dawno temu wsunął je tam w pośpiechu i już nigdy po nie nie wrócił.

Adam uklęknął ostrożnie i odsunął z wieka kawałek starej szmaty. Drewno było spękane, ciemne od wilgoci, a zardzewiały zatrzask ustąpił dopiero po mocniejszym szarpnięciu.

W środku nie było monet ani biżuterii, choć przez sekundę właśnie tego się spodziewał. Leżało tam pióro.

Czarne, smukłe. Cięższe, niż powinno. Na skuwce miało wąski srebrny pierścień, a pod warstwą kurzu połyskiwały delikatne, niemal starte zdobienia. Stalówka była srebrna, lekko porysowana, z ciemną plamką zaschniętego atramentu przy samym końcu. Na pierścieniu Adam dostrzegł drobne litery, ale nie potrafił ich odczytać.

Wyglądało jak rzecz należąca do dorosłego świata. Do tajemnicy.

„To skarb” – pomyślał.

Gdy tylko jego palce musnęły pióro, spróchniałe deski podłogi nagle zapadły się pod nim, pociągając go w dół. Chłopiec zdołał w ostatniej chwili chwycić się krawędzi, rozpaczliwie machając nogami w poszukiwaniu oparcia. Przez krótką chwilę wisiał nad ciemnością, z palcami wbitymi w kruszące się drewno.

Próbował się wspiąć – nadaremnie.

Spadł. Krzyknął, a jego głos po chwili odbił się od ścian. A jednak... to nie było echo. Zaraz potem rozległ się drugi wrzask – krzyczał chłopiec, w którego pokoju Adam właśnie

wylądował. W półmroku dostrzegł znajomą twarz. To był jego kolega ze szkoły.

*

Wrzesień 1991

Przez następne pięć lat Adam i Grzegorz byli nierozłączni. Nietypowe okoliczności ich spotkania stworzyły między nimi więź, której nie dało się łatwo wytłumaczyć. Byli nie tylko przyjaciółmi, ale współnikami wszystkich dziecięcych wypraw. Rozumieli się bez słów.

Janczary, choć na pierwszy rzut oka wydawały się senne i zapomniane przez świat, były miejscem pełnym tajemnic. W miasteczku od pokoleń krążyły opowieści o Wędrowcu. Oficjalnie nikt z dorosłych nie wierzył w te historie, ale dzieci unikały jak ognia okolic, w których podobno można było go spotkać.

Najwięcej szeptano o kaplicy na wzgórzu, stojącej pośrodku starego cmentarza. To tam Adam i Grzegorz postanowili wybrać się pewnego jesiennego wieczoru. Kilka dni wcześniej wujek Mieczysław opowiedział Grzegorzowi starą legendę, która od pokoleń krążyła wśród mieszkańców Janczar.

– Wędrowiec – zaczął Mieczysław, siedząc przy stole z gorącym kubkiem herbaty w dłoni – to postać, która pojawia się tylko w nocy. Ludzie mówią, że to nie jest zwykły człowiek. Raczej cień tego, czego inni nie chcą pamiętać.

Zaintrygowany Grzegorz spojrzał na wuja.

– A co dokładnie ma wspólnego z Janczarami?

Mieczysław uśmiechnął się lekko, zaciągając się dymem z papierosa.

– Mówi się, że Wędrowiec zawsze pojawia się tam, gdzie jest niesprawiedliwość albo gdzie prawda została zniekształcona. To cień spraw, które nigdy nie zostały naprawdę pogrzebane.

Grzegorz wpatrywał się w płomienie świecy, myśląc o słowach wuja.

*

Późnym wrześnieowym popołudniem chłopcy wyruszyli w stronę wzgórza. Droga prowadziła przez gęsty park, w którym panował chłód i cisza. Cisza wisiała między drzewami ciężko i sprawiała, że każdy krok brzmiał zbyt głośno.

Niosący latarkę Grzegorz próbował rozładować napięcie żartami, ale Adam był niespokojny. Gdy dotarli do kaplicy, księżyc rzucał blade światło na zniszczone nagrobki.

– Myślisz, że ten Wędrowiec naprawdę istnieje? – zapytał Grzegorz, przystając na chwilę, by poprawić plecak.

Adam wzruszył ramionami, wpatrując się w gęstniejący mrok.

– Nie wiem. Ale coś mnie tutaj ciągnie. Jakby to miejsce chciało, żebyśmy przyszli.

Grzegorz spojrzał na niego z lekkim niepokojem, ale postanowił nie drążyć tematu. Chłopcy dotarli na miejsce, gdy ostatnie promienie słońca ginęły między konarami pożółkłych drzew.

Kaplica była mała, nadgryziona zębem czasu. Jej drewniane drzwi skrzypiały na wietrze, a przez wybite okna wpadał księżycowy blask. Wokół rozsiane były nagrobki porośnięte mchem i niemal wtopione w ziemię.

Adam zadrżał, gdy podszedł bliżej ze specjalnie przyniesionym prętem. Patrzył na metalowy skobel, który zabezpieczał wejście do podziemi.

Grzegorz zerknął na Adama trzymającego narzędzie w gotowości. Obaj wiedzieli, że po tym nie będzie już odwrotu. Nie mogli się cofnąć.

– Gotowy? – zapytał Adam, choć w jego głosie brzmiała raczej pewność niż pytanie.

Grzegorz tylko skinął głową. Adam zamachnął się i całym ciężarem ciała naparł na prowizoryczną dźwignię. Dźwięk zgrzytającego metalu przeszył powietrze. Z każdym ruchem skobel poddawał się coraz bardziej, aż w końcu odskoczył, a drzwi stanęły otworem, ukazując ciemny korytarz. Z wnętrza powiało zimnem, które nie pasowało do wrześniowego wieczoru.

Przez chwilę żaden z chłopców się nie poruszył. Kaplica, która jeszcze przed momentem była tylko miejscem dziecięcej wyprawy, nagle stała się obca i groźna.

Grzegorz zapalił latarkę. Światło zadrżało na ścianach. Adam odwrócił głowę.

– To tu – mruknął, wskazując na schody. Szli powoli, krok za krokiem. Światło ich latarek przesuwало się po kamieniach, odsłaniając kolejne fragmenty korytarza. Każdy krok wydawał się głośniejszy, a cisza wokół nich tylko potęgowała wrażenie, że ktoś ich obserwuje.

Ich cienie zlewały się z ciemnością. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, pleśni i czegoś, co przypominało aptekę. Adam czuł podekscytowanie, a każdy ruch wydawał się spo-

wolniony. Im dalej szli, tym bardziej tracili pewność, czy sami wybrali tę drogę.

Nagle Adam się zatrzymał. Coś w głębi korytarza przykuło jego uwagę.

– Zobacz! – wykrzyknął.

Grzegorz skierował latarkę tam, gdzie patrzył Adam. Zobaczyli pomieszczenie przypominające gabinet lekarski. Na środku stał ogromny stół. Wzdłuż ścian ciągnęły się blaty, a na nich równo ustawione fiolki i metalowe narzędzia.

– Dlaczego to wygląda tak, jakby ktoś tu niedawno był? I czemu jest tak czysto? – zapytał Adam, rozglądając się po pomieszczeniu, w którym wszystko stało zbyt równo.

Chłopcy poczuli nagły lęk. Nie taki, który przychodzi po skrzypnięciu deski albo cieniu na ścianie. Ten był głębszy, obcy, trudny do nazwania. Nie umówili się na ucieczkę. Po prostu obaj ruszyli naraz.

– Ktoś tu jest – szepnął Adam. Jego głos drżał, gdy spojrzał w kierunku drzew.

Zamarli, bacznie rozglądając się wokół. Każdy dźwięk wydawał się wyolbrzymiony. Serca biły im szybciej, a oddechy były płytkie i nierówne. Przez kilka sekund nie robili nic, tylko nasłuchiwali.

Adam miał wrażenie, że ciemność między drzewami gęstnieje i układa się w kształt postaci. Z jego ust uniosła się para, choć jeszcze chwilę wcześniej wieczór nie wydawał się aż tak zimny. Mógł się mylić. W mroku wszystko łatwo przybierało cudze kształty. Nagle między drzewami przeszedł wiatr. Poruszył suche liście i przyniósł ze sobą dźwięk

podobny do szeptu. Adam zacisnął palce na latarce tak mocno, że zaboląły go knykcie. Gdy w panice odwrócił na chwilę głowę, kształt, który widział przed momentem, zniknął, a wiatr nagle ucichł. Grzegorz spojrzał na niego. Był blady jak ściana.

– Widziałeś to? – zapytał.

Adam tylko skinął głową. Minęło kilkanaście minut, zanim był w stanie ruszyć dalej.

Droga powrotna upływała w milczeniu. Chłopcy czuli, że coś się zmieniło, choć nie potrafili tego opisać. Na rozstaju ulic, gdzie mieli się rozejść, nie padło ani jedno słowo.

Gdy Grzegorz zbliżał się do domu, dochodziła pierwsza w nocy. Z daleka dostrzegł migające niebieskie światła. Stojąca przy klatce schodowej karetka nie wróżyła nic dobrego. Wchodząc po schodach, usłyszał ciche szmery, coraz wyraźniejsze z każdym piętrem. Na górze zastał ojca siedzącego w milczeniu z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Co się stało? – zapytał z niepewnością w głosie.

Ojciec podniósł wzrok, a w jego oczach odbijał się ból i łzy.

– Mama... – powiedział cicho, łamiącym się głosem. – Grzesiu, mama nie żyje.

*

Sierpień 2003

Reflektory samochodu jasną smugą rozcinały mrok, rzucając ostre światło na nierówną, dziurawą nawierzchnię drogi. Jechał nieco ponad sto kilometrów na godzinę – wystarczająco szybko, by poczuć przypływ adrenaliny, ale na tyle wolno, by nie ryzykować utraty kontroli na zakrętach. Palce

zaciśnięte na kierownicy lekko drżały, choć sam nie wiedział, czy to zmęczenie, czy napięcie.

Silnik warczał równomiernie. Ten monotonny dźwięk uspokajał go bardziej niż cisza. Grzegorz milczał, wsłuchany w jednostajny pomruk spod maski i szum opon.

Co jakiś czas pochylał się nad kierownicą, zerkając na gwiazdy rozświetlające niebo. Błyszczały tak jasno, że wydawały się wręcz na wyciągnięcie ręki. Noc była bezchmurna, a krystaliczne powietrze czyniło nieboskłon jeszcze bardziej imponującym. Gwiazdy wyglądały tak samo jak wtedy, gdy miał osiem lat i leżał na polu za domem, wpatrując się w nieskończoność, marząc o...

„Nieważne” – pomyślał, potrząsając głową, jakby chciał odgonić wspomnienie, które na moment wciągnęło go w przeszłość. Zwolnił lekko przed kolejnym zakrętem, czując, jak chłód przenika do wnętrza samochodu.

Nagle w odległości kilkudziesięciu metrów przed nim coś pojawiło się na środku drogi. Ciemny kształt, ledwo widoczny w słabym świetle reflektorów, przypominał zarysem człowieka, choć zdawał się nienaturalnie statyczny. Grzegorz zadrżał, a palce same zaciśnęły się mocniej na kierownicy. Odruchowo wcisnął hamulec, a opony zapiszczały, szukając przyczepności na wilgotnej nawierzchni.

Samochód zwolnił gwałtownie, zatrzymując się tuż przed sylwetką. Grzegorz przez kilka sekund patrzył na kształt przed maską, nie mogąc oderwać dłoni od kierownicy.

Na środku drogi stał ktoś zwrócony w jego stronę. Reflektory wydobyły z ciemności niewyraźne szczegóły – ciemny

płaszcz, który zdawał się falować na wietrze, i kaptur okalający głowę. Przez ułamek sekundy był pewien, że pod kapturem nie ma twarzy. Tylko ciemność. Nieznajomy nie poruszył się ani o krok, mimo że samochód zatrzymał się niecałe pięć metrów przed nim. Grzegorz z trudem przełknął ślinę, czując, jak zimny pot spływa mu po karku.

– Co, do cholery... – wyszeptał, choć jego głos był ledwo słyszalny.

Sięgnął do przycisku blokady drzwi, niemal instynktownie upewniając się, że samochód jest zamknięty. Sylwetka wciąż stała nieruchomo, a cisza wokół zdawała się cięższa niż wcześniej.

I wtedy postać zrobiła krok w jego stronę.

★

Anna obudziła się z lekkim uczuciem niepokoju, choć tłumaczyła je sobie ekscytacją. Była już pewna – tej nocy sen nie wróci. Przewróciła się na bok i spojrzała na zegar. Było kilka minut po czwartej i z każdą chwilą niebo zaczynało rozjaśniać się bladoniebieską poświatą.

Grzegorz miał przyjechać tuż przed świtem. Zawsze dotrzymywał słowa. Nigdy się nie spóźniał, co do tej pory Anna uważała za jedną z jego najbardziej niezawodnych cech. Leżąc na plecach, patrzyła na sufit i wsłuchiwała się w odgłosy budzącego się miasta.

Sięgnęła po ciepły szlafrok, zarzuciła go na ramiona i po-deszła do okna. Wschodzące słońce rozjaśniało krajobraz miękkim różem i błękitem. Gwiazdy niemal całkowicie zniknęły, ustępując miejsca nowemu dniu. Spojrzała na zegarek. „Zaraz będzie” – pomyślała z uśmiechem.

Kiedy usłyszała ciche przekręcenie klucza w zamku, jej serce zabiło szybciej. Wiedziała, że Grzegorz zawsze próbuje wejść najciszej, jak to możliwe. „Nie chcę cię budzić” – powtarzał, choć wiedział, że ona nigdy nie śpi, gdy na niego czeka.

Szybko ruszyła w stronę korytarza, niemal biegła, by go przywitać. Nagle zatrzymała się jak sparaliżowana.

Stał w progu z torbą w ręku, choć zwykle od razu zostawiał ją przy drzwiach. Ale tym razem coś było nie tak. W jego oczach było coś obcego. Były szeroko otwarte, przestraszone, a jednocześnie dziwnie puste. Anna zatrzymała się krok od niego.

– Grzesiu? – zapytała ostrożnie, niemal szeptem.

Nie odpowiedział od razu. Stał nieruchomo. Wyglądał na człowieka, który za chwilę może się rozsypać. Jego twarz wydawała się napięta, zmęczona, a na czole błyszczały krople potu, mimo chłodnego poranka.

– Wszystko w porządku? – zapytała ponownie, nie mogąc znieść ciszy.

Grzegorz w końcu drgnął, jak po nagłym przebudzeniu. Odstawił torbę na podłogę, wciąż unikając jej wzroku.

– Tak, wszystko dobrze – odpowiedział, ale jego głos był niski, niemal chrapliwy, jakby z trudem przeciskał się przez gardło.

Anna zrobiła krok w jego stronę, jednak coś ją powstrzymało. W jego spojrzeniu było coś, czego wcześniej nie знаła.

– Co się stało? – zapytała raz jeszcze, tym razem bardziej stanowczo.

Grzegorz odetchnął głęboko i w końcu spojrzał jej w oczy.

– Musimy porozmawiać – powiedział krótko.

Anna nie zapytała już o nic. Wystarczyło, że zobaczyła jego twarz.

Spis rozdziałów

Prolog	7
Rozdział pierwszy Z dala od światła	19
Rozdział drugi Propozycja nie do odrzucenia	53
Rozdział trzeci Wilhelm Keller – pierwsza granica	77
Rozdział czwarty WojDam	109
Rozdział piąty Wilhelm Keller – projekt „Odrodzenie”	129
Rozdział szósty Między książkami a rzeczywistością	155
Rozdział siódmy Na szczycie świata	177
Rozdział ósmy Ewangelia Wspólna	191
Rozdział dziewiąty Egzamin z życia	209
Rozdział dziesiąty Lato, które zmieniło wszystko	251
Rozdział jedenasty Labirynt umysłu	279
Rozdział dwunasty Wilhelm Keller – nowy początek	303
Rozdział trzynasty Cienie Notre-Dame-du-Port	329
Rozdział czternasty Wilhelm Keller – spotkanie dwóch cieni	349
Rozdział piętnasty Za kurtyną rzeczywistości	373
Epilog Cień pod gwiazdami	411
Od autora	423